ILUSTROWANY
GŁOS NARODU

z dnia 25. Października 1902 r.

Architekt-artysta.

TEODOR TALOWSKI,

prof. Politechniki lwowskiej.

Wśród falangi artystów, szukających nowych dróg, nowych form w sztuce — Talowski jako architekt, należy do przodujących. W Polsce stoi on prawie odosobniony.

Nie pytajcie go po szkolarsku o styl. Nazwijcie styl jego „modernistycznym“ niech w bliższem określeniu nosi nazwę „gotyk fantazyjny“ lub „staroniemiecki renesans stosowany“... Coś w danym typie jego budowli z tych stylów znajdziecie, ale każde jego dzieło, mimo danego typu, nosi piętno ogólne, zwane „talowszczyzną“ — piętno oryginalności!...

* * *

Teodor Talowski należy bezwątpienia do najwybitniejszych architektów w Polsce.

Oglądając domy przez Talowskiego wzniesione w Krakowie w dzielnicy Nowy świat, przeniesieni jesteśmy w epokę, do której dany dom się odnosi i owiani fantazją i czarem jakiejś sui generis poezji, bo nas w nią przenosi prawdziwy, z „bożej łaski“ artysta, który tę epokę



KOŚCIÓŁ W DOBRZECHOWIE.

zrozumiał i potęgą talentu tak silnie odczuł i tyle potrafił nadać archizmu, że się zapomina zupełnie, iż taka stara z pozorów i stylu kamienica, przed rokiem lub kilku zaledwie laty zbudowaną została.

Domy Talowskiego ze swoją fizjognomją starożytną, choć tylko sztucznie przybraną, to skończone w swoim rodzaju, wystudjowane w drobiazgach dzieła, które muszą przynieść sławę ich twórcy i upiększyć miasto w jego właściwym charakterze.

Teodor Marjan Talowski urodził się w roku 1857 w Zasowie; szkoły realne ukończył w Krakowie a wydział architektury studjował na politechnice w Wiedniu. Następnie dokończył swe studja w politechnice lwowskiej pod kierunkiem prof. Zachariewicza i Marconiego.



TEODOR TALOWSKI.

Utalentowany adept sztuki architektonicznej poświęcił się również malarstwu akwarelowemu i w tym kierunku doprowadził do znacznych rezultatów. Jego akwarele, przedstawiające krajobrazy i widoki z miast, były niejednokrotnie podziwiane na obu wystawach sztuk pięknych we Lwowie i w Krakowie i zawsze znajdowały chętnych nabywców a uznanie u znawców.

Wracając do działalności Talowskiego jako architekta, musimy zaznaczyć, że pierwsze budowy jego nie miały tego charakteru, jakie mają dzisiejsze; renesans w formie powszechnie stosowanej zbrzydł mu i w roku 1886 wystąpił po raz pierwszy z budową, wyłaniającą się z pod powszechnie przyjętych prawideł i odbiegającą od zwykłego szablonu. Jestto dom jego własny przy ulicy Retoryka w Krakowie, z napisem u cokołu:

Festina lente.

Dr. Albert Battandier pisząc w „Cosmosie“ o najnowszych budowlach — wypowiedział następujące o Talowskim zdanie: „Mimo wszystko budowle Talowskiego są fantazją artysty i to artysty, który stworzył nową drogę, na której talent jego niepozwolił mu zbłądzić. Pojęcie całości w budowlach Talowskiego nietylko sprawia miłe dla oka wrażenie, ale wchodzi w zakres talentów, do naśladowania prawie niemożliwych.

Nowy ten okres w działalności Talowskiego jako architekta, zaznaczył się całym szeregiem budowli oryginalnych, pięknych, a mimo to praktycznych. Dość wymienić takie budynki „Pod pająkiem“ przy ul. Karmelickiej, “Pod żabą“ i szereg kamienic na ulicy „Retoryka“ (wszystkie w Krakowie). Niemniej stylowy gotycki kościół w Dobrzechowie koło Rzeszowa i kościoły: w Suchy, w Przyszowy, w Kamionce Strumiłowej, w Tłustem, których podobizny w niniejszym numerze podajemy, dały poznać wszechstronny talent naszego architekta-artysty.

Budując kościoły, trzyma się prof. Talowski poniekąd zasad, które sam na swem inauguracyjnym wykładzie w Politechnice lwowskiej dnia 13 października b. r. wygłosił: „Wielką rolę odgrywają w budowlach kościelnych wysokie wieże, najeżone strzelistemi fiałami, strojne ząbkami, gargulcami a ukoronowane zwykle tak zwanym kwiatonem“.

Piękny pomnik poległych pod Königsgraetzem bojowników, zaprojektowany przez Talowskiego wywołał sensację wśród sędziów międzynarodowego konkursu, ogłoszonego w tym przedmiocie.

O ile wiemy, w ostatnich czasach wygotował prof. Talowski plany: kościoła w Łańcucie (na wezwanie hr. Potockiego), kościoła w Jeżowem, we Wrocance i fantastycznej wili dla dra Miecz. Dembowskiego w Bochni.

Prof. Talowski jest w sile wieku! jest pomysłowym i pracowitym artystą; miejmy więc nadzieję, że niejednem jeszcze dziełem pierwszorzędnej wartości wzbogaci niwę naszego artystycznego budownictwa.



KOŚCIÓŁ W PRZYSZOWY (1899).

Przeklęty brylant.

Lord Enfielston z uczuciem wstrętu a zarazem z przyjemnością patrzał na stojącego u progu obdartego, tęgiego chłopa.

Wychodzicie prosto z więzienia?—zapytał lord.

— Tak, milordzie. Właściwie... to ja niewinnie zostałem wmieszany w tę historię. Słowo honoru. Zupełnie niewinnie.

— Dobrze, dobrze, to mi wszystko jedno! Odsiedzieliście pięć lat za kradzież, tak? Mów przyjacielu otwarcie.

— Tak — odparł obdartus. — Tak stoi na papierze, który mi dał do milorda dyrektor więzienia. Ale, proszę pana, naco ja panu jestem



KOŚCIÓŁ W SUCHY (1895)

potrzebny? Niech mi milord da szelinga, czy dwa, i puści.

Lord pokręcił głową.

— Nie, bracie nie puszczę cię! Umyślnie prosiłem o przysłanie mi człowieka, karanego za złodziejstwo. Dla czego? To moja rzecz. Chcę mieć takiego człowieka za służącego. Dyrektor przysłał cię, więc cię wezmę na próbę. Pensji otrzymasz dwa funty szterlingów na miesiąc. Zgoda?

Były złodziej patrzał na lorda, jak na warjata, wreszcie począł mówić:

— Czy zgoda? Czy ja chcę? Ależ błagam, milordzie. Na ulicy zimno, ciemno nie ma co w gębę włożyć... Ach szlachetny panie, zgadzam się i dziękuję...

Lord się uśmiechnął i przycisnął guzik dwonka.

— Oto ten człowiek, o którym ci mówiłem, John — rzekł do wchodzącego lokaja. — Powiedz mu, co ma robić. Tymczasem niech co dzień rano uprząta w bibliotece.

Nazajutrz rano eks-złodziej, sprzątając w pokoju, mieszczącym bibliotekę, słuchał nauk Johna.

— Trzeba najprzód ścierać kurze, potem obcierać te wszystkie kosztowne drobiazgi. Dziwna rzecz, jak mój pan wierzy byle komu. Przecież w tym pokoju znajdują się bardzo drogie rzeczy. Ot, naprzykład ten brylant pod szklannym kloszem kosztuje trzy tysiące funtów!

Tu John pokazał nowemu słudze piękny brylant, wielkości dużego orzecha, leżący na czarnej, aksamitnej poduszce pod szklannym kloszem.

— Mój Boże! dziwił się nowo przybyły lokaj — jak to można tak zostawić takie drogie rzeczy! Co to za pokusa...

— E, ktoby go tam wziął... Przecież ty chyba, przyjacielu, nie masz chętki wziąść się znowu do kradzieży?.

— Niech mię djabli wezmą, jeśli chcę.... Niech sobie leży spokojnie, ale...

Rzucił jeszcze raz nieśmiałe spojrzenie na brylant i czemprędzej począł ścierać kurz z książek w drugim końcu pokoju.

W dwa dni później lord Enfielston prowadził następującą rozmowę z najlepszym swym przyjacielem majorem.

— No, i cóż — pytał major. — Pozbyłeś go się już?

— Tymczasem nie jeszcze, — ale już się na to zanosi...

— Nie możnaby wiedzieć, w jaki sposób?

— Ukradną go...

Major spojrzał zdziwiony.

— A cóż, może to najlepszy sposób, ale jak ty to urządzisz?

Lord uśmiechnął się znacząco.

— Dowiesz się, gdy będzie wszystko skończone. Wcześniej nie powiem ani słowa. Do widzenia!... Może już sprawa będzie załatwiona, gdy wrócę do domu... Dziś już trzeci dzień...

— Jaki trzeci? Czego?

— Nie rozumiesz nic?... Zresztą później ci to opowiem.

* * *

— Powiedzcie mi, panowie, — pytał w klubie młody Langham, który świeżo wszedł „w towarzystwo“ — co to za historja przywiązana jest do brylantu Enfielstona?

Mężczyźni, siedzący przed kominkiem, spojrzeli zdumieni na mówiącego.

— Jakto, nie wiesz pan nic o tym brylancie? — zapytała Middelston.

— Ten ssawiec nic nie wie, zauważył długi Barcelay. — Opowiedz mu majorze.

— Ale, panie, pozwolę sobie zwrócić uwagę, — jąkał młody Langham.

— Siedź pan cicho, panie Langham, — przerwał major. — Nie wszczynaj pan kłótni z Balelayem, ale posłuchaj lepiej. Brylant Enfielstona jest kradziony. Taki zwykły los wielkich brylantów. Stryjeczny dziad Enfielstona, pułkownik Enfielston, przywiózł go z Indji i później dopiero dowiedziałem się, że stał się posiadaczem fatalnego, nieszczęśliwego kamienia: brylant ten przynosi nieszczęście każdemu, kto go posiada. Tak przynajmniej objaśniono pułkownika w Indjach... I rzeczywiście. Z trzech Efielstonów. w których posiadaniu się znajdował, nie umarł żaden śmiercią naturalną. Pułkownik skręcił kark na polowaniu: brata jego zastrzelono z zasadzki, syn, a stryj naszego Enfielstona, z trwogi przed nieszczęściem, postradał rozum i sam sobie życie odebrał.

— To nie do uwierzenia! Dla czegoż nie podaruje kamienia komukolwiek?

— Brawo chłopcze! Twój spryt zaszczyt ci przynosi. Ale wtem właśnie rzecz, że niemożna go ani podarować ani wyrzucić, gdyż wtedy klątwa spada jeszcze straszniejsza. Wraz z tym klejnotem rodzinnym każdy członek rodziny odziedziczył skłonność do obłąkania i nasz Enfielston, który ma zamiar się ożenić. nie jest w stanie otrząsnąć się z tego przesądu. I z resztą jego narzeczona nie chce wyjść za niego, dopóki on nie pozbędzie brylantu.

— Więc co będzie? — zapytał Langham.

— Czy ja wiem? Enflelston twierdzi, że mu go ukradną, ale niech mnie djabli wezmą, jeżeli się znajdzie taki człowiek.

* * *

Człowiek taki się znałazł, ale zawiódł oczekiwanie Enfielstona. Nowy służący codziennie przebywał sam na sam z kosztownym brylantem; drzwi i okna otwarte były na roścież, lecz były złodzej pełnił gorliwie swe obowiązki i kraść ani myślał.

Enfielston był w rozpaczy.

— Powinieneś zachęcić go do kradzieży, — mówił do Johna — rozbudzić w nim apetyt...

— Postaram się — odparł lokaj.

Pewnego razu Enfielson z radością spostrzegł z po za portjery, że nowy służący podnosi klosz i z rozkoszą głaszcze błyszczący kamień.

Lord schował się czemprędzej, aby mu nie przeszkodzić. Po upływie godziny zajrzał do biblioteki — brylant leżał na dawnym miejscu.

Nareszcie pewnej nocy Enfielston usłyszał ciche, skradające się kroki obok drzwi sypialni... ktoś wszedł do biblioteki... Nareszcie! Teraz schody skrzypią, złodziej już jest przy drzwiach wchodowych...

Nagle dal się słyszeć krzyk, hałas i wołanie na pomoc. Enfielston ze świecą w ręku pospieszył na miejsce wypadku.

Na podłodze leżał wierny John a na jego piersiach, ściskając w ręku prawą zaciśniętą pięść Johna, klęczał nowy lokaj, były złodziej.

— Co to jest? — zawołał zdumiony Enfielston.

— Co jest? To ten łotr chciał skraść ten kamyczek, co kosztuje 3.000 funtów. Ten wierny, pański John? Ale dopilnowałem! Nie wszyscy złodzieje siedzą w więzieniu!

I uczciwy złodziej z tryumfującą miną gwałtem otworzył zaciśniętą pięść Johna. Z pomiędzy palcy błysnął płomienny brylant.

— Jak mogłeś to zrobić? — zapytał pan z wyrzutem.

— Chciałem wziąść na siebie odpowiedzialność, aby tylko zadowolnić pana — Jęczał John — ale ten łotr...

Łotr uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Dowiodłem zatem że się poprawiłem... Sto razy mógłbym skraść ten brylant, ale nigdybym się nie odważył okraść tego, co mnie wyciągnął z błota, co zemnie zrobił człowieka...

Z brylantem w ręku skierował się ku bibliotece. Pan i poturbowany John szli za nim. Były złodziej położył z wielką troskliwością kamień na aksamitnej poduszce, przykrył kloszem, mówiąc pieszczotliwie:

— Leż tu sobie spokojnie. O ile to odemnie zależeć będzie, nikt cię tu nie odbierze memu dobremu panu.

* * *

Na tem mogłaby się skończyć historja brylantu, ale możemy dodać epilog.

W klubie przez dwa tygodnie żartowano z Enfielsona i nieudanego zamachu, zawyrokowano, że w dwudziestym wieku nikt nie powinien wierzyć w przesądy.

Enfielston ożenił się na złość brylantowi.

W trzy lata później major powrócił z podróży na około świata i spotkał na ulicy właściciela nieszczęśliwego brylantu.

— No i cóż? — zapytał z uśmiechem — klątwa ciebie nie dotknęła? Żyjesz i jeteś szczęśliwy...

Lord Enfielston westchnął ciężko.

— Jesteś kawalerem — odparł posępnie — więc niemasz pojęcia‘ jakie męczarnie są na świecie... Powiem ci tylko, że klątwa, przywiązania brylantu trwa w swej sile. Czuję to od trzech lat, to jest od chwili w której, się ożeniłem...

Wrażenia z wakacyj.

Melsztyn i jego okolice.

(Ciąg dalszy).

W odległości 3 klm. od Zakliczyna, znajduje się w stronie północno zachodniej Melsztyn po lewym brzegu Dunajca, w nader malowniczem położeniu. Jestto punkt zborny wszystkich wycieczek w tę okolicę, gdzie i natura i przeszłość dziejowa pociąga oczy wszystkich ku sobie. Z rynku zakliczyńskiego widać już pozostałą do dzisiejszego dnia basztę z dawnego zamku melsztyńskiego, która robi imponujące wrażenie na nas, zwłaszcza w dniu pogodnym, a widok ten wspaniały potęguje się jeszcze bardziej przed zachodem słońca, kiedy cała góra z basztą zdaje się unosić z oparami ku przestworom niebieskim, owiana błękitnym nimbusem. Doznajemy wtenczas takiego wrażenia, jakgdybyśmy odrywali się od codziennych zajęć i powszednich wrażeń ku tej świetnej przeszłości naszej ojczyzny, do tych wspomnień, kiedy to orzeł białopióry władał potężnem ramieniem od morza do morza, kiedy na naszych górach wznosiły się siedziby potężnych rycerzy polskich, gotowych na każde skinienie swego monarchy w obronie granic nie zepsutej jeszcze obcymi wpływami Polonii. Promienie zachodzącego słońca, wciskające się do okien baszty melsztyńskiej i przedzierające się przeciwnemi oknami ku stronie wschodniej, dodają jeszcze większego uroku temu wspaniałemu obrazkowi, jaki tworzy cała góra, lasem szpilkowym zasłana wraz z wystającą ku niebiosom na jej barkach basztą. Czerwona tarcza zachodzącego słońca, palące się promienie w oknach baszty, góra otoczona mgłą, cisza zupełna w naturze, zwierciadlana tafla czystego jak kryształ Dunajca, tuż u stóp góry z majestatycznym spokojem płynącego, to wszystko składa się na całość, pełną piękna estetycznego, na całość, pełną efektu malarskiego, a wrażenie to podnosi jeszcze w sercu widza przeszłość dziejową, ta przeszłość może najświetniejsza i to przekonanie, że tu mieszkał jeden z najlepszych synów ojczyzny, ów sławny Spicymir, kasztelan krakowski, prawa ręka w radzie i w boju, małego wzrostem, ale potężnego duchem króla Łokietka.



KOŚCIÓŁ W KAMIONCE STRUMIŁOWEJ (1901).

Między Zakliczynem, a samym Melsztynem rozciąga się piękna osada Wesołów, a za nim widać wielki most drewniany, bardzo staranie urządzony i po bokach dla bezpieczeństwa ścianami zaszalowany, prowadzący przez Dunajec do właściwego miejsca wycieczki — do Melszty-

na. Stanąwszy u stóp góry, spostrzega się ruiny sławnej siedziby Spicymira, do której prowadzi podwójna droga, męcząca wprawdzie, ale za to obiecująca sowitą nagrodę dla tych, którzy pokonają trudności fizyczne i staną na samym szczycie góry. Jak wszystkie nasze zamki, tak też i melsztyński miał swój cel obronny i wznosi się nad rzeką. Rzeki nasze, w czasach nawiązanych stosunków handlowych pomiędzy Węgrami a Słowianami, służyły za drogi handlowe dźwigając na swych barkach tratwy z licznymi towarami. Ponieważ brzegi tych rzek, porośnięte gęstymi lasami, dawały schronienie rabusiom t. zw. „raubritterom“, przeto należało zasłonić polski handel przed ich napadami, w tym zaś celu budowano zameczki i już Bolesław Chrobry, zdobywszy te okolice na Czechach i zawarłszy z Węgrami układ handlowy, stawiał zameczki nad rzekami w celu obrony handlu polskiego. Dunajec był również traktem handlowym, to też nie brak mu zameczków, rozsianych nad jego brzegami, a należą do nich: Groń białecki, Gronków, Pieniny, Czorsztyn, Rytro, Muszyna, Grodzisko, tuż pod Starym Sączem, Nowy Sącz, Chełmiec, Gródek, Rożnów, Tropsztyn, Czchów i Melsztyn najpotężniejszy w ich wieńcu. — Pierwotny zamek na wysokości 75 m. na skalistej górze, był wybudowany z kamienia surowego, z okrągłą basztą, z której widok rozchodził się ku Wojniczowi i ku Tropiu i dawał możność widzenia płynących Dunajcem karawan kupieckich, którym można było spieszyć z pomocą w każdej chwili, a głęboka fosa, tuż u stóp zamku zalana wodą, utrudniała przystęp do niego obcym najeźdźcom. Późniejszy zamek, którego szczątki dochowały się do dnia dzisiejszego, stanął prawdopodobnie około r. 1340 przy starym zameczku z ciosanych kamieni, wzmocniony potężnemi basztami, a jedna z nich, do dzisiejszego dnia zachowana, wznosi się w odległości 130 m. od nowego zamku, o 20 m. wyżej od jego posady, mająca być strażnicą nad przylegającym do niego zamkiem. Mury tej baszty, grube przeszło na meter, mieściły w sobie strzelnicę.

Niedaleko tej wieży głównej wznosiła się druga niższa, przy której istniała brama wjazdowa, a dalej była fosa głęboka, dzieląca zamek od góry z mostem zwodzonym. Przystęp do zamku był bardzo utrudniony, gdyż od strony Dunajca wznosiła się spadzista góra, której płaska ściana stanowi potężną zaporę przed napadami. Od strony północnej zabezpieczał zamek mur gruby, poza którym była fosa, napełniona wodą. Strona zatem północna, zachodnia i wschodnia miały zabezpieczenie sztuczne, strona zaś południowa miała naturalną obronę, którą była góra.

Mury, otaczające dziedziniec zamkowy i ściany zamkowe, były zakończone blankami i strzelnicami, z których rażono nieprzyjaciela. Poza mostem zwodzonym na górze, od strony zachodniej wznosi się kościół zamkowy, z którego już niema dzisiaj śladów. Droga, prowadząca do zamku, wiła się po stronie północnej ku rzeczce Wieleni i ku kotlinie Dunajca, a za nią rozciągał się potężny parów. Dawny zamek składał się na podstawie inwentarza z r. 1605 z wielkiego domu, średnich gmachów, kaplicy, ganku z filarami. Do górnych piąter prowadziły kręcone schody. Dziedziniec zamkowy, dziś zarośnięty trawą, wskazuje swymi rozmiarami, iż tu wrzało życie rycerskie i był świadkiem licznych turniejów i ćwiczeń rycerskich. Dziedziniec ten otaczały gmachy piątrowe, gdzie mieściła się siedziba właściciela, sale gościnne. Po przejściu mostu zwodzonego wchodziło się do bramy niższej; po bokach tejże bramy były śmigownice, czyli długie armaty, a nad bramą wjazdową mieścił się herb Leliwa. Po prawej ręce była na wyżynie wysoka wieża, z której dotąd stoją trzy ściany. Dziedziniec zamkowy mieścił się poza bramą, długości mniej więcej na 50 m., a szerokości na 20, zamknięty z trzech stron grubym murem z kamieni i cegieł. Czwarty bok dziedzińca stanowił front zabudowań dwupiątrowych.

Po stronie wschodniej rozciągał się poza głównym dziedzińcem, drugi mniejszy, otoczony budynkami. Między tymi budynkami była sala niemiecka czyli gotycka, od różnych ozdób gotyckich tak nazwana, gdzie załatwiano różne interesa z oficjalistami i sąsiadami niższego rzędu. W około dziedzińca wznosiły się filary kamienne, a na nich spoczywał ganek, spodnim nazwany, z którego wchodziło się do mieszkań na pierwszem piętrze. Drugi ganek był przy wielkim domu, który prowadził do długiej sali, przeznaczonej na tańce i większe zabawy. We wschodniej stronie tego drugiego dziedzińca była ostrołukowa brama z herbami, poza którą rozpościerał się trzeci dziedziniec, otoczony murami z grubego kamienia surowego, gdzie miał być pierwotny zameczek z czasów Chrobrego, wzmocniony przez Spicymira r. 1340. Sale na piętrach w całym zamku były przeznaczone na mieszkania właścicieli, dla ich gości i licznych rezydentów i pokojowców; dolne zaś sale stanowiły mieszkania służby, pachołków, kuchnie, zbrojownie, składy i magazyny. Pod salami rozciągały się olbrzymie piwnice i stajnie na konie. Otwór na dziedzińcu głównym, oszalowany dla bezpieczeństwa zwiedzających, średnicy 2 m., a głębokości 8 m, jest śladem schodów, które prowadziły do olbrzymiej stajni, do dziś dnia zachowanej, a poza tą stajnią wchodziło się do piwnic. Wejście do tych piwnic można jeszcze oglądać, ale za zezwoleniem zarządu miejscowego. Sale zamkowe były wszystkie obszerne i wysokie, z należytem oświetleniem. W oknach były szyby ze szkła kolorowego, kominki marmurowe rzeźbione, futryny, piece kaflowe z różnemi figurami, ściany złocone, i w każdej sali inaczej malowane, niektóre z obiciami jedwabnemi, na ścianach olbrzymie lustra, obrazy i portrety antenatów, zbroje różnego rodzaju, stropy złocone, kosztowne pająki ze świecami woskowemi, stoły dębowe długie i wysokie na toczonych nogach, krzesła różnych kształtów, obite złoconą skórą lub jedwabną materyą. Oto są ozdoby tych sal, w których rozgrywały się liczne zabawy i kipiało życie wesołe. Do stołu usługiwało mnóstwo służby, a obok państwa zamku snuły się rzesze synów szlacheckich, których tu dawnym zwyczajem oddawano na wyćwikę w rzemiośle rycerskiem i na wyuczenie się dworskiej grzeczności.



WYBUCH WULKANU W ANDACH.

Seweryn Goszczyński, zamiłowany badacz naszych Karpat i wielbiciel zabytków minionej przeszłości polskiej, zwiedzając Melsztyn w roku 1832, zastał jeszcze w całości wieżę zamkową kwadratową, obwiedzioną wysokim tarasem murowanym, ale już bez pokrycia. Trzy ściany tej wieży były jeszcze zupełne, a czwarta, wyszczerbiona u góry, runęła po wielkich deszczach 1846 roku. Tu spotkał Goszczyński staruszka, Wojciecha Kareckiego, który umarł w 1841 r., przeżywszy lat 97. Od tego to staruszka dowiedział się Goszczyński wielu szczegółów, które tenże staruszek pamiętał, kiedy zamek był własnością Lanckorońskich. Ten to Karecki opowiadał Goszczyńskiemu o konfederatach, którzy przyczynili się głównie do zniszczenia zamku. Ówczesnym właścicielem Melsztyna był hr. Maciej Lanckoroński, który trzymał stronę z partyą królewską, a gdy przybyli tu konfederaci, odjechał ze zamku. Konfederaci ze zemsty, że nie przystał do ich partyi, potłukli okna zamkowe i sprzęty pokojowe, wypili wiele wina, a resztę zabrali, a czego nie doniszczyli konfederaci, tego dokonali kozacy.

Konfederaci po jakiejś potyczce z kozakami pod dowództwem Zaręby i Ruszczyca, w liczbie około 40 wpadli na zamek melsztyński już po północy, gdzie zastali staruszka Wojciecha Paszyca (pochowanego przy kościele OO. Reformatów w Zakliczynie w r. 1771), dawniejszego towarzysza pancernego, marszałka zamkowego. Prócz niego znaleźli konfederaci kilkoro ze służby dworskiej. Konfederaci, nie mogąc znieść tego, że nie zastali właściciela zamku, który im nie sprzyjał, wystrzelali kilka okien kolorowych, i to o zakład, kto więcej z nich psoty narobi, na urągowisko hrabiemu, który narodowej sprawie nie chce przyjść z pomocą. Dostawszy się do piwnic, wypili wiele wina i innych spirytualiów, zabrali kilka sztuk kulbak i gdyby nie obecność Paszyca, dla którego starszyzna była z wielkim respektem za to, że im opowiadał wiele ze swych wypraw wojennych i raczył ich częstymi kielichami, a w końcu zaopatrzył ich w liczne prowianty, byliby z pewnością dopuścili się więcej nadużyć, a nawet mieli zamiar podpalić zamek, jak to strażnik, stojący na straży

na baszcie, opowiedział p. Paszycowi, który słyszał zmawiających się konfederatów. Odeszli więc po północy po obfitych libacyach, wyładowawszy dobrze sakwy prowiantem różnego rodzaju. Najgłówniejszą szkodę wyrządzili w sali głównej, gdzie rozbili wielkie lustro weneckie w bogato rzeźbionych ramach, strzelając w zawody do wróbla, który spłoszony z pola, wpadł do tej sali przez wybite okno. Prócz lustra zniszczyli tu kilka portretów familii Lanckorońskich, które podziurawiono w sposób barbarzyński. Dalszych szkód zabronił pijanym towarzyszom Zaręba, a słuchać go musieli, gdyż wszelki opór karał surowo stryczkiem lub kulką. Sreber i drobiazgów nie było już w zamku, to też nie miano co zabrać. Powyższe szczegóły, dotyczące pobytu konfederatów w zamku melsztyńskim, zebrał ks. Józef Zajączkowski, proboszcz w Konczyskach, od wiarygodnego świadka, ks. J. Wagnera, w r. 1835, który miał wówczas lat 88, a dożył lat 100.

Ówczesny proboszcz melsztyński, ks. Jachciński, dodaje, że zabrano z piwnic wino beczkowe, butle, miód i wiśniak. Szukano także pieniędzy i amunicyi, naruszyli mensę w kaplicy zamkowej, nie oszczędzili nawet kłódek i świec.

Kt. Wincenty Balicki, proboszcz w Lisigórze, zwiedzając Melsztyn w r. 1829. opowiada, że pozostała już w ten czas jedna tylko wieża, która stawiła opór wszelkim burzom czasu i brutalstwu ludzi. Żądza pieniędzy zwabiła tu wielu chciwych i prawdziwym wandalizmem napiętnowanych ludzi, którzy w pogoni i poszukiwaniu za ukrytymi skarbami, zaczęli rujnować mury, dopiero interwencya rządu przeszkodziła temu brutalstwu. Po roku 1770 zapadła nad zamkiem straszna ponura i głucha cisza, po pełnej gwaru życia przeszłości w murach zamkowych. Rodzina Lanckorońskich nie wróciła tu już więcej. Z gości nikt tu nie zajrzał, służba rozleciała się, kosztowne meble, kobierce, zbroje i pamiątki po przodkach przepadły gdzieś na marne, nie przebaczono nawet i murom, które zaczęto powoli rozbierać, i wiele jest domów, zwłaszcza w Zakliczynie, powstałych z tych rozkradzionych kamieni, widać je w ścianach stodół i stajen wieśniaczych, z ciosów melsztyńskich powstały zabudowania dworskie w okolicy, kościół i browar w Domostawicach. W braku murów rzucono się na wieżę, rozbierając górne jej części, którą uratował od zniszczenia dopiero hr. Lanckoroński w roku 1879, umacniając trzy pozostałe ściany ankrami żelaznymi i pokryto je kamiennemi płytami, kładzionemi na cement i wapno, by te uchronić od deszczu. W latach 1884 i 1885, zaczęto więcej myśleć o zabezpieczeniu tej drogocennej pamiątki. Ponieważ stojąca chata wieśniacza pośród zamczyska przeszkadzała dalszym poprawkom, musiano tę chatę usunąć, ale tu napotkano na wiele trudności, gdyż chłop uważał się za prawego dziedzica tej chatki i nie chciał się usunąć. Trudność tę usunięto tym sposobem, że wystawiono porządny dom i całe gospodarstwo chłopu i dodano mu jeszcze spory kawał gruntu do tego. Po usunięciu tedy Kilana, gdyż tak się ów włościanin nazywał, uporządkowano dziedziniec główny na zamku, a w pobliżu wieży i muru z dawnemi strzelnicami wystawiono schronisko drewniane na ciosowej podstawie, a przy tej restauracyi odkryto resztki murów zamkowych które od strony północnej były przywalone gruzem i zielskiem, odkryto sklepienia piwnic zamkowych, stajnie i schody kamienne. Od strony północnej urządzono też dwie bramy dojazdowe i ułatwiono przystęp do wnętrza przez wyrównanie ścieżek i poręcze.

(Dok. nast.)

HOŁD MARYI KONOPNICKIEJ

w Kole literackiem *).

Chociaż nas zewsząd cisną łańcuchy
I nad Narodem znęca się wróg,
Nie tracą nasze serca otuchy
I silnej wiary, że z nami Bóg.

A tej opieki widome znaki,
To naszych wieszczów potężny śpiew,
Co duchy w górne unosi szlaki
Bujnej przyszłości rzucając siew.

Gdy bojowników zdrętwiałe palce
Złamany oręż rzuciły precz,
I po ostatniej rozpacznej walce
Mściwy nad nami zawisnął miecz;

Kiedy pomarli dawni pieśniarze,
A wróg zwycięski urągał nam,
Że nam zostały tylko cmentarze,
I że nas wiecznie pogrąży tam:

Zabrzmiał śpiew nowy wśród głuchej ciszy,
I niewidzialny staje się cud —
Bo ten głos echem w sercu swem słyszy
Do życia zbudzon polski nasz lud.

Silnie zabiły serc miliony,
I już nie zamrą, jak żywy Bóg;
Bo je wskrzesiła swoimi tony
Ta pieśń, co weszła za wiejski próg.

Od stoków Karpat ku bramom Wilna,
Ćwierć wieku krusząc serc twardych głaz,
Pieśń ta rozbrzmiewa, piękna i silna —
A dziś pieśniarka gości wśród nas.

To cześć jej bracia w tem naszem kole,
Bo silnie bardon ujęła w dłoń,
Gwiazda natchnienia lśni na jej czole,
A święty wawrzyn wieńczy jej skroń.

Gdy ją radosne widzą dziś oczy,
A w jej źrenicy młodości blask,
Niech ją serc naszych wieniec otoczy,
Rzewną modlitwą do Źródła łask:

„Zlej na nią panie natchnienia zdroje,
Niech nam wyśpiewa przez szereg lat:
Ojczyzny chwałę i Imię Twoje
I uczuć swoich najczystszy kwiat".

Jak na anielskiej trąby wołanie
Umarli grobu porzucą cieśń,
Niech bohaterów zastęp powstanie
Gdy im pobudkę zagra ta pieśń.

A my, gdy serce żywiej w nas bije —
Głośmy, co w głębi przenika nas:
Niech Konopnicka śpiewa i żyje,
Szczęsna i sławna w najdłuższy czas!

W Krakowie 18 października 1902.

Wincenty Stroka.

*) Wiersz ten zaimprowizowany w czasie rautu w Kole literackiem, nie mógł być wygłoszony z powodu wcześniejszego wyjścia pani Konopnickiej.

O znaczeniu języka polskiego.

Prof. Aleksander Brückner z Berlina wygłosił we Lwowie odczyt o znaczeniu języka polskiego. Wywodził on, że język polski wpośród języków słowiańskich zajmuje stanowisko środkowe, łącząc w sobie zasoby wszystkich innych. Nieuzasadnione są pretensje innych Słowian do tego, że ich język jest dawniejszy; wszystkie właściwie są równie stare, a na to, że i język polski jest bardzo starym, można przytoczyć bardzo wiele dowodów. Okazuje się to z wielu nazw miejscowości, i z wielu wyrazów starosławiańskich, które i w innych językach się nie zachowały, natomiast istnieją w języku polskim. Przytem zważać należy, że w dawnej polszczyźnie było wiele wyrazów rdzennie słowiańskich, na które dziś język polski używa wyrazów innego pochodzenia. Mówca przytacza jako przykład wyraz „częda" (dziecko) który zachował się jeszcze w wyrazie „szczątek", to jest potomstwo. Wogóle zraża innych Słowian, głównie Rosjan i Czechów, do języka polskiego to, że jest w nim wiele bardzo wyrazów obcego, nie słowiańskiego pochodzenia. Mówca widzi w tem dowód, że Polacy pod względem kulturalnym w bliskich znajdowali się stosunkach z innymi narodami, co jest objawem wielce dodatnim, Mamy więc w naszym języku ślady obcowania z kulturą rzymską, włoską, francuską, niemiecką itd. w licznych wyrazach pochodzących z tych języków. Ale i inne słowiańskie języki noszą na sobie piętno dawnej zawisłości kulturalnej i politycznej od innych narodów, czeski zawisłości od Niemców, rosyjski od Tatarów, bułgarski i serbski od Turków. A zresztą najnowsza literatura polska stara się oczyścić polską mowę od obcych naleciałości i zasilić ją nabytkami z narzeczy polskich; tak np. czynią Reymont, Żeromski i inni. Prelegent widzi w tem objaw dodatni, z wyjątkiem niektórych usterek i niewłaściwości, których nie pochwala.

Ale znaczenie języka głównie ujawnia się we wpływie, jaki on wywiera na ościenne narody. Tutaj mamy do zaznaczenia liczne zdobycze dawnej kultury polskiej, trwalsze, niż zdobycze miecza. Najdawniej, bo jeszcze za czasów Piastowskich w wieku XIII i XIV uwydatnił się wpływ języka polskiego na język staropruski. Częstokroć znajdujemy w tym języku wyrazy, pochodzące od słów polskich, dziś już nie używanych. Tak np. polskie „pan", „pani", jest skróceniem z wyrazów „żupan", „żupani". Otóż w języku staropruskim znajdujemy ten wyraz w nieco zmienionej formie. I tak jest wiele innych, których rodowodu uczeni niemieccy nie mogą skonstatować i uważają je za jakieś ogromnie stare słowa, podczas gdy dadzą się one łatwo wywieść z polskich wyrazów. Tak więc Prusy były pierwszą zdobyczą kultury polskiej; niestety później się zgermanizowały. Podobnież ciążyło do kultury polskiej i Pomorze; które później także skutkiem przyczyn, których prelegent nie chce przytaczać, utraciliśmy na rzecz kultury niemieckiej. W późniejszych stuleciach wpływ kultury polskiej uwydatniał się na wschodzie państwa polskiego. Podlegała mu Litwa i Ruś; dopiero w ostatnich czasach wśród Litwinów zaczęła się objawiać dążność uwolnienia się od wiekowego wpływu języka polskiego; obecnie sztucznie wskrzeszają język litewski, którego nawet większość ludu prostego nie rozumie. Co zaś do języka małoruskiego (tej nazwy używa mowca, jako jedynie historycznie uzasadnionej), to jest on jedną z najtrwalszych zdobyczy kultury polskiej, a mowca ogromnie się zdziwił, gdy czytal niedawno o Ukraińcach w Galicji, nie mógł on bowiem pojąć, skądby oni się tam wziąć mogli. Zawsze język małoruski przystosowywał się zupełnie do ducha i charakteru polszczyzny i był niejako dyalektycznie zabarwioną polszczyzną, pisaną odmiennemi literami.

Także język rosyjski nosi liczne ślady wpływu polszczyzny. Pomimo, że już przeszło sto lat panują Rosyanie nad Polakami, znacznie więcej jest w języku rosyjskim wpływu polskiego, niż w polskim rosyjskiego, co dowodzi, że pod względem kulturalnym nie potrzebujemy obcych dobrodziejstw, bo wystarczy nam zupełnie kultura własna. Ale dalej jeszcze sięgał wpływ języka polskiego. Najlepszym tego dowodem Rumunia, w której w ubiegłych stuleciach język polski odgrywał rolę podobną, jak w Polsce francuski, był on tam językiem klas oświeconych i wyższych warstw towarzyskich. Istnieje dawna rzeźba rumuńska, przedstawiająca, jak jeden z największych ich poetów wręcza Janowi Sobieskiemu dedykowany mu poemat w języku polskim. Jeszcze w ubiegłym stuleciu dochowały się ślady tego stanowiska języka polskiego wśród wielu możnych rodzin mołdawskich.

Ale i w dzisiejszych czasach stanowisko języka polskiego w świecie jest wybitne, dzięki literaturze polskiej, która teraz pięknie bardzo się rozwija. Chcąc ją ocenić, nie powinniśmy porównywać jej z literaturą francuską, niemiecką, angielską, lecz z innemi słowiańskiemi. Owóż prawdą jest, że Czesi i Rosjanie w ubiegłym stuleciu wydali wielu wybitnych literatów. Ale co się tyczy Czechów, to ich poeci są właściwie kosmopolitami i piętna czeskiego u nich bardzo mało. A zresztą, ażeby się przekonać o przeciętnym poziomie literatury czeskiej, wystarczy porównać którykolwiek zeszyt „Złotej Prahy" z zeszytem "Tygodnika illustrowanego". Mówca nie mówi o illustracjach i w ogóle o szacie zewnętrznej, albowiem technika wydawnicza stanęła w Czechach bardzo wysoko. Ale co do treści, wszystkie wychodzące tam powieści wydają się nam jakieś naiwne i prymitywne, w porównaniu z tem, co w naszych czasopismach się drukuje.

Rosja miała w ostatnich dziesięcioleciach bardzo potężnych pisarzy, ale prelegent ma to wrażenie, jak gdyby siła twórcza wśród Rosjan już się wyczerpała. Współcześni młodzi pisarze, jak Gorkij, Korolenko, Czechow, są wprawdzie bardzo charakterystyczni jako objaw społeczny, ale właściwej wielkości w nich niema. Natomiast najmłodsza literatura polska obfituje w talenta bardzo wybitne, po których spodziewać się należy rzeczy nadzwyczajnych. To powinno nam dodawać otuchy, że kulturalnie zawsze jeszcze sami sobie wystarczyć możemy, że mamy wiele w sobie żywotności, a więc i piękna przyszłość leży przed nami.

Nasze ilustracye.

Obok podobizn kościołów wzniesionych przez p. Talowskiego, podajemy rycinę przedstawiającą wybuch wulkanu w Andach. W łańcuchu górskim, przecinającym Amerykę południową, są olbrzymie wulkany, wobec których Mont-Pelée jest tylko pagórkiem. Wybuchy ich jednak nie sprawiają tak wielkich szkód, gdyż okolica naokoło jest pusta i niezamieszkała.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Druk W. Korneckiego w Krakowie.